



Darek Dusza

Jestem ziarnkiem piasku

Wydawnictwo ZIMA

Jestem
ziarnkiem
piasku
:

Autor: Darek Dusza

Tytuł: „Jestem ziarnkiem piasku”



www.zima.slask.pl
www.sklep.zima.slask.pl

Wydawca ZIMA Firma Fonograficzno-Handlowa

Marek Niewiarowski ul. Traugutta 71B/7 Pyskowice

Copyright: © ZIMA (2016)

ISBN 978-83-913108-7-8

Wydanie pierwsze

Materiały zdjęciowe pochodzą z archiwum autora. Autorzy zdjęć, o ile znani, podpisani są przy zdjęciach. Niepodpisane pochodzą ze zbiorów prywatnych różnych osób. Staraliśmy się ustalić, kto jest autorem, niestety okazało się to niemożliwe – niemniej naruszenie czyichkolwiek praw autorskich nie było naszą intencją – prosimy o informacje, jeśli autorzy rozpoznają swoje zdjęcia, ew. jeśli znacie autorów.

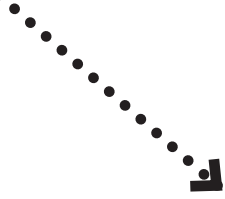
Prawa autorskie zastrzeżone, lecz cytowanie fragmentów w celach niekomercyjnych – ze wskazaniem źródła – mile widziane.

Projekt, typografia, zdjęcia na okładce, również część w środku:

© copyright (2016) mirosław ryszard makowski

Realizacja i druk: Ośrodek Wydawniczo Poligraficzny SIM

www.zima.slask.pl facebook.com/ZIMARECORDS



Darek Dusza

Jestem ziarnkiem piasku !

Wydawnictwo ZIMA

[Kup książkę](#)

Sopot, molo (1986)
„30. lat jazzu w Polsce”
foto mr.makowski

Intro

[Kup książkę](#)

Nabiecie!

Raz, dwa, trzy, cztery! Zaczynamy.

Nie lubię książkowych wstępów. Ty też? Tych podziękowań dla psa, papużki, żony, wydawcy, dawnych przyjaciół i przyszłych wrogów. Tego tłumaczenia się, krygowania, mizdrzenia do ginącego gatunku, jakim jest Czytelnik. Opowiadania o inspiracjach, fascynacjach i innych acjach, które towarzyszyły autorowi w trakcie procesu twórczego. Wstępy są gorsze, niż opisy przyrody. Niemniej każda dobra książka powinna mieć wstęp. Tak jak każdy utwór muzyczny. Byle nie był to wstęp rozwlekły i nudny. Niech będzie krótko i żołnierskim, prostym językiem.

Dlaczego napisałem?

A dlaczego nie? Wszyscy polscy muzycy wydają wspomnienia. Z pewnością z nadmiaru wolnego czasu i faktu, że łatwiej sprzedać dziś książkę niż płytę. Czemu miałbym nie spróbować? Fakty coraz bardziej zacierają się w pamięci, powoli odchodzą potencjalni czytelnicy. Ba, rock'n'roll został ginącym gatunkiem i powinien trafić do Czerwonej Księgi. Rock'n'roll i my, rock'n'rollowcy.

Chociaż tak naprawdę nie jestem sentymentalny. Czasy się zmieniają, muzyka się zmienia. I dobrze. Stare pierdziele zawsze narzekają, a młodzi mają to marudzenie w dupie. Miałem wielkie szczęście, że udało mi się grać w najlepszym dla polskiej muzyki czasie. Grałem w świetnych zespołach ze wspaniałymi muzykami. Grałem rock'n'rolla, punka, reggae i rocka. Nagrałem wiele płyt, na jeszcze więcej krążków trafiły moje teksty. Dzięki muzyce przeżyłem wiele przygód, poznałem wielu sympatycznych ludzi. Muzyka pozwalała i pozwala przetrwać. Bez niej świat byłby milczeniem.

Starczy tego wstępu? Mogę Wam podać sto kolejnych powodów, dla których usiadłem przy klawiaturze. Przerośnięte ego? Chęć zysku? Tani sentymentalizm?

Kogo to obchodzi? Ważne, żeby się dobrze czytało.

Pewnie poplączę jakieś fakty, pewnie przekreślę kilka nazwisk. Pewnie zapomnę o kilku niemiłych sytuacjach. Wykreślę z pamięci kilku wrednych typów. Ktoś się obrazi, ktoś zostanie pominięty. Parę rzeczy przemilczę. Przywilej autora. To nie jest praca naukowa. Z drugiej strony na pewno nie hagiografia.

Ważne, żeby się dobrze czytało.

Tyle wstępu, zaraz zacznie się pierwsza zwrotka.



Rozdział 1

Urodziłem się... Nie przerywaj, skoro piszę tę książkę, to z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że wcześniej się urodziłem. Urodziłem się w Gliwicach, na Górnym Śląsku. Bardziej dociekliwi mogą sobie wyguglać, co to za dziura. W porywach zasiedlało ją dwieście tysięcy gliwiczian, zatrudnionych w lokalnych hutach, kopalniach i innych zakładach przemysłu ciężkiego. Część ludności pracowała w różnego rodzaju biurach projektowych, Gliwice uchodziły za miasto inteligentów. Mądrość spływała z archipelagu Politechniki Śląskiej. Tuż przy tym archipelagu mieszkalem.

Moje miasto było również znane z produkcji czołgów i innych środków do zabijania w zakładach w Łabędach. Oczywiście za komuny nikt się tym nie chwalił, nikt nie chciał. Przecież wraz z bratnim narodem radzieckim miłowaliśmy i krzewiliśmy pokój. Ileś lat później chodziłem na ryby na teren poligonu czołgowego, mijając naszego eksportowego „Twardego”. Ustroje się zmieniają, natura ludzka nie. Zabijać! Mordować i dobrze na tym zarabiać. Na pewno słyszeliście też o Kanale Gliwickim, dawniej Adolf-Hitler-Kanal? Nie? To już raczej nie usłyszycie, nic nim nie pływa. Kiedyś wożono nim ze Śląska węgiel. Gliwice są najbardziej wysuniętym na zachód miastem Górnego Śląska. Stąd krążące wtedy mity o najbardziej zielonym i czystym mieście regionu. Tak jakby te koksownie, huty (w tym jedna w samym centrum) walały ozonem.

Może faktycznie Gliwice były nieco ładniejsze, niż typowo robotnicze śląskie miasta. Rynek, zameczek piastowski, dwa duże parki. A na zachód od miasta zaczynały się lasy, pola i dzikie stępy. Jednak było to (nadal jest) miasto bardzo okaleczone wojną, pełne pustych placów po zniszczonych kamienicach. Odbudowywane chaotycznie i byle jak. Do kamienic z końca dziewiętnastego wieku doklecano socrealistyczne plomby. Pomiedzy zwartą, secesyjną zabudowę wstawiano socrealistyczne pudełka. Takie jak dom przy ulicy Moniuszki, w którym spędziłem dzieciństwo i pierwsze lata młodości.

Pięciopiętrowy, trzy klatki schodowe. Narażony na opad rdzawego pyłu z Huty Pierwszego Maja. Wypranych białych koszul nie należało suszyć na balkonie. Prostopadle do domu wznosił się pagórek, pod którym znajdował się schron przeciwoatomowy. Wejście do środka i spenetrowanie tego schronu było niespełnionym marzeniem mojego dzieciństwa. Próbo-

waliśmy z kolegami niejeden raz. Niestety... Przed wejściami do klatek rozciągało się porośnięte trawą podwórko. Rosło na nim parę kasztanowców, lipa, topole i niewielka jabłotka. Co roku owocowała, zielone, kwaśne jabłkotka znikwały w ciągu kilku chwil. Dalej ciągnęły się garaże, przylegające do fabryki wyrobów z tworzyw sztucznych. Centrum miasta, nieźle? Kawalek dalej zaczynało się tzw. „Górnice”, czyli podwórko przed domem należącym do jakiegoś biura górniczego czy też kopalni. Tuż za nim biegła ulica Dworcowa vel 1 Maja vel Jana Pawła II. Jak widać nazwy ulic są funkcją zmieniającej się władzy.

Cóż tam jeszcze ważnego było w okolicy mojego domu? Rzeka Kłodnica, czyli wtedy radioaktywny kanał odprowadzający ścieki i wody kopalniane z połowy Śląska. Teraz ponoć pływają w niej ryby, co jest kolejnym dowodem na deindustrializację. Faj, co za paskudne słowo, na dodatek nie występujące w języku polskim. Ale inteligentny czytelnik skumał, o co cho. Przy Kłodnicy stał kościół św. Barbary, w późniejszym czasie miejsce zbiórki ekipy chodzącej na giełdy płytowe. W pobliżu było parę sklepów: warzywniak, spożywczy i mięsny.

I przede wszystkim był sklep pani Skowronowej. Najlepszy sklep pod słońcem. Prywatny. Jasne okienko kapitalizmu w mrocznym, socrealistycznym baraku. Tam chodziło się po oranżadę, tam wymieniano się syfony z wodą sodową. Skowronowa miała świeże warzywa, ciastka, czekolady. I żurek. Żurek na Śląsku to sprawa istotna, a dobry żurek to wręcz sprawa strategiczna. Nie ma się z czego śmiać, w innych regionach Polski nieudolnie próbuje się podrobić tę śląską potrawę. Próbuje bezskutecznie, bo żur smakuje tylko na Śląsku. Sklep Skowronowej był jak z baśni, tylko Pewex był w stanie go przebić. Nie chcę silić się na ironię, ale osoby z krótką pamięcią oraz urodzone po 89 roku uprzejmie informuję: Biedronki ani Żabki w pobliżu mojego domu nie było. Nie było na całym Górnym Śląsku. Nie było w całej Polsce! No pewnie, że dinozaury wymarły wcześniej.

Dobra, od tego miejsca pojawiają się przypisy. Dzięki temu tekst będzie zrozumiały dla wszystkich grup wiekowych. Może jednak lepiej nie? Przypisy bardzo łamią rytm, zakłócają czytanie. Przecież drogi Czytelniku musisz być inteligentny. Nikt nie pisze dla ameb. Ameby książek nie potrzebują. Zadowolą ich jutuberzy i współczesne polskie kabarety. Gdybym myślał o samobójstwie, wybrałbym godzinę z jednym z kabaretów lansowanych na Polsacie. Albo godzinę oglądania rozśmieszaczy z netu.

Szczanie, pierdy, szczanie. Humor made in USA. O, jeszcze bekanie. Bkanie jest niezwykle ważne dla współczesnej popkultury.

Przepraszam, zapomniałem dodać, że urodziłem się w grudniu 1961 roku. Nie pamiętam nic z pierwszych lat mojego dzieciństwa. Byłem ślicznym pączusiem z blond lokami, przynajmniej tak wyglądam na nielicznych czarno-białych fotach z tamtego okresu. Pierwsze mgliste wspomnienia to ja, w tórzeczku z lalką murzynkiem i mama podająca tyżeczką lekarstwo. Potem kolejne obrazy: porwane, niespójne. Siedzę na rowerku, leżę gdzieś na plaży, leżę na łące. Leżę na moście w Ustroniu i drejja na całego:

– Kup! Kup! Kup!

Obok zażenowani rodzice patrzą na mnie, jak na obce dziecko.

– Darek, wstań – spokojnym głosem tłumaczy mama.

Upatrzyłem sobie w kiosku jakiś badziew i koniecznie chciałem, żeby go kupili. Pojawił się impas. To co zrobił trzyletni Daruś? Wzorem Mahatmy Gandhiego i innych bojowników o wolność pacnąłem na asfalt i zastosowałem bierny opór. Lecz rodzice byli sprytniejsi. Po prostu zaczęli się oddalać. Nieśpiesznie, ale bez oglądania się na mnie. Oj, jak szybko zerwałem się z mostu! Pierdolić kioskowy badziew!

Właśnie, rodzice. Mama, tleniona blondynka, z fryzurą à la Brenda Lee. Ojciec z ciemnymi włosami bardziej pod Elvisa. Ach, te stylowy z lat sześćdziesiątych. Mama twierdziła, że była wzrostu średniego. No dobra, niech jej będzie. Ojciec wysoki i wtedy szczupły, z tendencją do poszerzania obwodu pasa. Kiedyś uprawiał boks w swojej ukochanej Wiśle Kraków, ale z wiekiem mięśnie zastąpił tłuszczem.

Mama była aniołem. Naprawdę. Wiem, że większość ludzi tak napisze o swoich matkach, lecz ja będę się upierał. Mama była licencjono-



Gdzieś nad Bałtykiem,
archiwum rodzinne

wanym aniołem. Nigdy nie klęła. Nigdy nie kłamała. W życiu nie słyszałem, żeby powiedziała coś złego o innym człowieku. Była w stu procentach uczciwa, nie znała zawiści, czy zazdrości. Może dlatego tyle lat wytrzymała z tatą. No, ten to na tytuł anioła nie zasługiwał. Miał dużą słabość do alkoholu, słabość, która mocno to jego życie komplikowała, a nam przysparzała wielu zmartwień. Jednak i on w końcu został aniołem. Nagle w wieku lat sześćdziesięciu zupełnie odstawił alkohol, a potem świetnie opiekował się mamą, którą dopadła kurewska choroba Alzheimera. Na finiszu swojego związku moi rodzice znów byli zakochaną w sobie parą.

Mama pochodziła z Pomorza, miała dwie młodsze siostry. Jej ojciec rozstał się z babcią, która przeprowadziła się do Bydgoszczy i tam zamieszkała. Ojciec miał jedną siostrę, Hanię. Jego ojciec, a mój dziadek, był nauczycielem. Babcia, w czasach, które wyraźnie pamiętam, była sparaliżowana. W pokoju, w którym leżała na szafce stały dziesiątki lekarstw, część sprowadzana z zagranicy. Niestety, nic nie pomagało.

Rodzice poznali się na studiach w Krakowie, oboje kończyli pedagogikę. Z całym tym stalinowskim bagażem syfu. Uczyli historii. Właściwie uczyli oficjalnej wersji historii, bo ta prawdziwa wersja za komuny była skrzętnie ukrywana i przekłamywana. Chociaż, czy istnieje w ogóle prawdziwa wersja historii? Na odtrutkę w domu stały ocalone ze skupu makulatury dzieła zebrane Piłsudskiego. Przeczytałem je całe w wieku lat osiemnastu. Tak, całe, pisma, mowy, rozkazy. Trochę męcząca lektura, ale byłem ambitny. Po studiach rodzice dostali nakaz pracy i wyładowali w Gliwicach. Najpierw mieszkali w wynajmowanym pokoju, potem już ze mną wprowadzili się do dwupokojowego mieszkania na Moniuszki.

Kolejny przykurzony obrazek z mojej pamięci, to przedszkole. Dokładniej kanapka z rybą. Ryb nie cierpiałem, a pani przedszkolanka usiłowała mnie do nich przekonać wciskając mi kanapkę siłą do buzi. Owszem, wpakowała, ale do przełknięcia tego świństwa już nie potrafiła mnie przekonać. Z wielką satysfakcją udało mi się wypluć wszystko na jej sukienkę. Konsekwencją tego kolejnego przejawu buntu było wypisanie mnie z przedszkola. Zaczął się złoty wiek nianiek. Porzuciłem bunt i w wieku trzech lat zacząłem wieść błogi, mieszczański żywot.

Pierwsza niania była Ślązaczka. A może Niemka? Nie wiem, w każdym razie wyjechała na stałe do Niemiec. Doskonale gotowała, nauczyła mamę jak zrobić klasyczne śląskie rolady (wiadomo, że z kluskami i mo-

draż kapustą). Robiła też „zupę nic”. Nie znacie? Wlejcie szklanek mleka do garnka, podgrzejcie i dodajcie do niego żółtko utarte z czterema łyżeczkami cukru. Tylko nie zagotujcie. Z białka i cukru ubijcie pianę i łyżeczką ułóżcie na zupie. I to wszystko. Mniem do kwadratu!

Przedpołudnia spędzałem z nianią, popołudnia z rodzicami. Niestety, czas rolał gdzieś po roku dobiegł końca. Jeszcze przez dwa lata niania przysyłała „pakety” z Niemiec. Ciuchy, czekolady i inne pyszności. To był czas gomułkowskiej, siermiężnej biedy. A prezenty od niani były takie piękne, kolorowe, ślicznie opakowane.

Druga niania pochodziła ze Wschodu. Mówiła ze śpiewnym akcentem, gotowała barszcz, pierogi ruskie i kopytka ziemniaczane. Była też bardziej rozrywkowa niż poprzednia. Często zabierała mnie do parku, gdzie jej kolesie grali w karty i walili browce. Niania siedziała z nimi, jarała służki i pewnie też lekko popijała. Sądzę, że mama nie byłaby zachwycona, gdyby wiedziała, jak wyglądają moje spacer.

Tak, w nianiach miałem swoiste multikulti. Z jednej strony Wschód, z drugiej Zachód. Z jednej strony rolada z modrą kapustą, z drugiej pierogi ruskie i barszcz. A na półce nad stołem Piłsudski i jego teoria dwóch wrogów. Słowem, groch z kapustą.

Przyszedł czas na szkołę. Poszedłem do podstawówki nr 17, w której pracowała moja mama. Chyba była trochę nadopiekuńcza, a swoją drogą łatwiej było jej pogodzić pracę z opieką nade mną. Szkoły specjalnie się nie bałem. Już wcześniej mama zabierała mnie na lekcje, wcześniej też nauczyłem się czytać. Ale to ranne wstawanie, koszmar. Kaligrafia okazała się jeszcze większą masakrą. Może powinienem się wtedy bardziej przyłożyć do smarowania w zeszytach w linijki tych wszystkich kółeczek, laseczek i literek? Ileś lat później parę razy nie potrafiłem rozszyfrować odręcznie napisanych tekstów piosenek. Dyskaligrafia, po prostu usprawiedliwia mnie dyskaligrafia.

– ...ski, do tablicy!

Idzie błąd, bo tradycyjnie się nie przygotował. On to wie, my to wiemy, nauczyciel też. Ale przedstawienie trwa. Pytania, odpowiedzi. W końcu finał.

– Dawaj rękę! – nauczyciel trzyma w prawej ręce wielką linijkę i wali biednego ucznia po łapach. Kika razy też oberwałem, nie pamiętam za co, ale dostałem. Na pewno nie za czytanie. Zawsze lubiłem czytać, zo-

1980 r. archiwum rodzinne



stało mi to do dziś. Przez pięć lat przeczytałem praktycznie całą szkolną bibliotekę. Wszystko jak leciało: od „Chłopców z Placu Broni”, przez serię „Tygrysów” po Sienkiewicza i przygody Winnetou. Uwielbiałem przynosić z biblioteki po kilka tomów, ubranych w beżowy, gruby papier. Potem zaszyć się w pokoju i zupełnie odlecieć, zanurzyć się w lekturze, przenieść do innego świata. Z rozpędu tyknąłem też całą domową bibliotekę. Najbardziej spodobały mi się „Słowa” Boya-Żeleńskiego. Pasjonowało mnie przeglądanie encyklopedii i wertowanie map.

Najbardziej jednak lubiłem podwórko. Podwórko i podwórkowych przyjaciół. Przed naszym domem kręciło się pełno tubylczej dzieciarni. Przychodziły też dzieciaki z okolicznych kamienic, tam w betonowych studniach nie mogłyby poszaleć i pograć w gałę. Była to jedna z naszych ulubionych rozrywek, granie w piłkę przy garażach. Na pewno nie byłem w tym dobry, ale czego się nie robi dla zdobycia uznania kolegów.

Kolegów miałem różnych. Nasz dom nazywano „nauczycielskim”. Faktycznie, w większości zamieszkiwali go nauczyciele z rodzinami. Hmm, trochę dziwna była ta inteligencja. Jedna familia notorycznie wyrzucała wszystkie śmieci przez okno. Inny kolo namiętnie polował na dworcu na młode wiejskie dziewczyny i przyprowadzał je do mieszkania na piątym piętrze, z czarnymi, nigdy nie umyтыми oknami. Gdy dwóch kolesi włamało się do fabryki plastików i wyniosło jakieś talerzyki, wiaderka, to cała inteligencja stała w kolejce i kupowała od nich te fanty. Tak, dzisiaj pewnie by zeznali, że walczyli z systemem.

W soboty duża część męskiej inteligencji udawała się do pobliskich spelun i tam dawała w palnik. Niestety mój tato również. Za to w niedzielę ci sami dżentelmeni, z czerwonymi szyciami, zdezynfekowanymi Przemysławką, karnie stali w kościele przy swoich wkurzonych żonach. Bywa, nie wszyscy są aniołami.

Blok zasiedlono w 1962 r., stąd wiele rodzin miało dzieciaki w podobnym wieku. Wiadomo, własny kącik, własne wyrko, własna meblościanka na wysoki połysk i rodziły się dzieciaki. Kolegów z podwórka pamiętam lepiej niż kolesi z podstawówki. Może dlatego, że potem przewijali się przez całe moje życie? Dołączyli do punkowej załogi Śmierci Klinicznej, kilku później zatrudniłem w dziale handlowym, którym zarządzałem (nie, nie, dyrektorem nie byłem, ratunku!). Z kilkoma spotykam się do dzisiaj. Tak, pamiętam twarze, imiona i nazwiska: Darek Wiśniowski, Piotrek

Nowicki, Piotrek Węglarski, Tomek Płonka, Rysiek Madaj, Jacek i Wojtek Kwiatkowsky, Grzesiek Kaziewicz, Jurek Zieliński. Tomek i Grzesiek Baran. Byli też o kilka lat starsi: Marian Węglarski, Marek Potowczuk, Krzysiek Wania, Darek Szurlej, Witek Budzioch. Do tego na podwórku można było spotkać wielu innych chłopaków, często z gitowsko-chuligańskich klimatów. Z nimi też się dało pogadać, pograć w piłkę, czy na przykład wysadzić w powietrze śmietnik. Pirotechnika była naszym wspólnym hobby, parę razy po udanych detonacjach na podwórko zajeżdżała milicyjna nyska. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wiedział, zawsze się nam upiekło. Chociaż w kamienicy obok mieszkał jakiś oszalały ormowiec, który co jakiś czas próbował nas utemperować. Podobnie jak dozorca z sąsiedniego podwórka, niejaki Fufu. On również nie był fanem petard, ani saletry płonącej na jego parapecie. Dziwne, ale nawet zapalające strzały, które robiliśmy pod wrażeniem filmów z Winnetou nie zachwycały ani jego, ani sąsiadów.

Oprócz kolegów mieliśmy oczywiście koleżanki, ale wtedy to one nadawały się wyłącznie do zabawy w chowanego. Szpaczki, Agata, Jola, Ola, Joanna, Lila, Marzena ganiały z nami po podwórku, dopóki nie podrosły na tyle, by u ich boku pojawili się jacyś smętni fagasi. Myśmy byli ponadto. I szkoda, bo większość dziewczyn na podwórku była naprawdę ładna. Cóż, chłopcy dojrzewają później, albo wcale. Zazwyczaj wcale.

Graliśmy w chowanego, goniliśmy się z plastikowymi pistoletami. Jesienią robiliśmy ogniska z liści i gałęzi, przeganiani przez nawiedzoną sąsiadkę. Strzelaliśmy namiętnie z różnego rodzaju proc. Drogie hobby, mam na koncie dużą szybę w pobliskim maglu. Jeden z kolegów skonstruował nawet samopał. Jednym strzałem pokieroszował metalowy kontener na śmieci.

Łaziliśmy po dachach, szczytem odwagi było przeskoczenie pomiędzy dwoma ciągami garaży. Mieliśmy na podwórku zdezelowaną piaskownicę, która pełniła funkcję wielkiej kocięj kuwety. Raz na jakiś czas remontowano nam huśtawki i karuzelę, co zawsze owocowało dużą ilością wstrząśnień mózgu. Sam takowe zaliczyłem, gdy huśtawka skasowała mnie od tyłu. W potylicę! Zimą nasz nigdy nie zdobyty schron przeciwatomowy zamieniał się w ekskluzywny stok narciarski, saneczkowy, tyżwiarski i tyłkowy. Polewaliśmy go wodą, żeby można się było ślizgać. Ale była zabawa! Przez krótką chwilę, pod wpływem wycieczki do gliwickiego muzeum zaczęliśmy się interesować archeologią. Prowadziliśmy bardzo za-

awansowane prace archeologiczne na terenie całego podwórka. Liczyliśmy, że uda nam się wykopać coś fajnego: granat, ludzką czaszkę, przynajmniej pistolet. Nic nie znaleźliśmy, oprócz kości mamuta. No tak, coś tam wykopaliliśmy i mój kumpel Darek zawyrokował:

- Mamut.
- Jaki mamut?
- Mamut, na sto procent mamut!
- Zalewasz...
- Mamut, byłem wczoraj na wycieczce w muzeum, to wiem.

Po godzinie domniemana kość mamuta zaczęła nas nudzić i spokojnie wróciliśmy do zabawy w wojnę. Kość porzuciliśmy.

Najgorzej, gdy nie było pogody. Nie mogłeś być wtedy, jak Thierry Śmiałek, który kręcił procą i wypuszczał kamulce we wroga. Nie mogłeś, jak Ivanhoe przegalopować przez podwórko z bojowym okrzykiem. Nawet nie było jak podpalić gazety (wtedy robiono je z papieru, który się palił) od spodu, żeby zainicjować Bonanzę. Za to mogłeś odpalić telewizor. Biało-czarny oczywiście. Mogli wpaść sąsiedzi, bo wieczorem, w sobotę leciały westerny. Leciały też filmy wojenne. I Czterej Pancerni. I Hans Kloss.

Gdy z mojego życia zniknęły nianie, zastąpił je telewizor. W czwartek można było obejrzeć mrożące krew w żyłach spektakle Teatru Sensacji „Kobra”. Oczywiście, jeśli rodzice pozwolili. Z zapartym tchem oglądałem popularno-naukową „Eurekę”, którą w latach siedemdziesiątych zastąpiła „Sonda”. Siedem lat później z Shakin’ Dudi graliśmy wspólnie trasę koncertową z tym programem. Tak, tak Kurek, Kamiński i my, szaleni rock’n’rolowcy. Obaj panowie mieli świetny kontakt z publicznością i prostym, komunikatywnym językiem potrafili przekazywać wiedzę. Szkoda...

Właściwie tykałem wszystkie programy, począwszy od niedzielnych, porannych rolniczych. W wieku lat dziesięciu, jak każdy rodak znałem się na wszystkim. Na architekturze, dzięki oglądaniu „Piórkim i węglem”, na zwierzętach dzięki Gucwińskim, a życie sławnych aktorów, muzyków i przodowników pracy socjalistycznej poznawałem w „Tele echu”. IQ windował mi w górę pierwszy polski teleturniej „Wielka gra”. W pierwszej fazie telemaniactwa oglądałem bajki dla dzieci. Jak ja nie cierpiełem „Gąski Balbinki” i tego skurwiałego Ptysia, z nieodłącznym, przemielonym przez nos tekstem „Cześć Balbina”. Duet Jacka i Agatki też doprowadzał mnie do rozstroju nerwowego. Na szczęście mogłem przytulić się do misia. Teraz nie-

stety nie mam misia i kontakt z telewizją wyrządza mi o wiele większe spustoszenie w organizmie, szczególnie, gdy są to programy publicystyczne lub informacyjne. Chyba kupię misia. Lub znów na rok wyrzucę telewizor.

Bolka i Lolka lubiłem, bardzo. Amerykańskie kreskówki też kochałem. Ale tego enerdowskiego dziada nie znosiłem. Piaskowy Dziadek. Stasi dziadyga, z okropną piosenką. Do dzisiaj ją pamiętam. Chcecie, to Wam zanucę? Nie? To nie. Dobra, starczy o tej telewizji, chociaż nie, jeszcze o jednym ważnym programie. Adam Słodowy, pierwszy punk na świecie, pierwszy propagator hasła D.I.Y. (Wykonaj to własnoręcznie). Twórca kultowego programu „Zrób to sam”. Gdyby Les Paul lub Leo Fender zobaczyli, jak mistrz Adam budował gitarę elektryczną z gwoździ, drutu i kawałka deski, natychmiast przekazaliby mu swoje fabryki. Za darmo. Program polskiego MacGyvera wpędzał mnie tylko w kompleksy. Jemu wszystko wychodziło, wszystko działało. Natomiast, gdy próbowałem go naśladować... Porażka. Kiedy rozdawali talent do majsterkowania, poszedłem chyba wtedy na papierosa. Albo na piwo?

Podwórko, koledzy, książki, telewizja. Mały, stabilny świat. Gdzieś w czwartej klasie podstawówki zapisałem się na judo. Przez trzy lata zasuwałem na macie, ubrany w białe judogi. Potem sekcję rozwiązali i przenieśli nas do AZS-u. Kariera sportowa nie była moim marzeniem, dlatego zrezygnowałem.

W piątej klasie zacząłem chodzić na angielski, do szkółki prowadzonej przez KMPIK. W szkole uczono nas rosyjskiego. Z tych kilku lat spędzonych w Szkole Podstawowej nr 17 niewiele zostało mi w głowie. O wiele więcej pamięta mój przyjaciel Marek Nowowiejski, z którym siedziałem przez jakiś czas w jednej ławce. On ma w ogóle fenomenalną pamięć do twarzy i nazwisk. Gdy po iluś latach poszliśmy na spotkanie klasowe, rozpoznał i kojarzył wszystkich. A ja tylko pamiętałem, że w czwartej klasie ktoś mi mazaki zajuchcił. Takie piękne, przystane przez nianię z RFN-u. Spotkanie trochę odkurzyło moją głowę, przypomniały mi się prywatki u Marka, który częstował kabanosami i coca colą (to już lata siedemdziesiąte i wujek Edward).

Pamiętam też czarny fortepian, który stał w mieszkaniu mojej przyjaciółki Beaty Lottko. Przypomniały mi się odwiedziny u koleżanek mieszkających w domach na Ptasiej Dzielnicy. Jedna z nich miała mikroskop! Zabawkowy, ale mikroskop! Rany, jak ja chciałem mieć mikroskop. Zapomnij

Darku. Biedą obdzielano wtedy równo. Teraz obdzielają nierówno. Nie byliśmy wtedy społeczeństwem konsumpcyjnym. Miałem jedną parę butów na zimę, jedną na lato. Dwie pary zimowych spodni, dwie pary letnich, parę swetrów, trochę koszulek i pocerowanych skarpetek. Szafu nie było. Ale większość dzieciaków na dzielnicy żyła podobnie. Tylko ci, którzy mieli rodzinę zagranicą mieli trochę lepiej. A, przepraszam, miałem jeszcze rower, składaka i zegarek. Oczywiście, że komunijne!

Dziurawa ta głowa, pusta. Tyle z niej wyciekło. Pamiętam jeszcze jak czołgi na Czechosłowację jechały w 1968 roku. Przejeżdżały ulicą Dworcową, następnego dnia jeszcze było widać ślady po gąsienicach.

Ten 68 to nie był dobry rok. Ojciec co jakiś czas przynosił wedlowskie czekoladki, które kupował spod lady u znajomego w sklepie cukierniczym. W 68 roku skończyło się. Znajomy wyjechał. Żyd? Czemu Żyd musiał wyjechać? Nie rozumiałem. Nie wysłałem antysemityzmu z mlekiem matki. Tak samo jak większość moich rówieśników. Dopiero gdzieś w wieku lat dwudziestu spotkałem się z odchytami antysemitkami i rasistowskimi.

No, Cyganów trochę nie lubiliśmy, bo się ich baliśmy. W pobliskiej alejce kręciło się kilkunastu, kobiety wróżyły z kart, a kolesie zajmowali się jaramiem szluzów. Słowo pedał znałem, ale tak do końca nie wiedziałem, co ono znaczy. Tak to jest, gdy się ma wielu starszych kolegów.

Co tam Cyganie, Żydzi czy Murzyni. Najbardziej przechlapane mieli Ślązacy. Widać to było w szkole. Niektórzy nauczyciele pastwili się nad nimi: za akcent, za przekręcanie wyrazów, za byle co. Miałeś na imię Erwin i od razu byłeś gorszy. Byłeś Szwabem, wrogiem.

Dopiero po latach zdałem sobie sprawę, jak wstrętne to było, jak komuna manipulowała i antagonizowała społeczeństwo. Biedne dzieciaki, naprawdę miały pod górkę przez swoją śląskość.

Idąc do szóstej klasy zmieniłem szkołę. Moja mama przestała pracować w podstawówce, przeniosta się do technikum, nie było więc powodu, bym zasuwał z kapturą dwa razy do szkoły. Poszedłem tam, gdzie chodziła moja dzielnica, do szkoły nr 28. Szkoła była wypasiona, zbudowana w ramach akcji „Tysiąc szkół na Tysiąclecie” i miała nawet basen. Niestety.

Tak, niestety, bo ja zupełnie, ale to zupełnie nie umiałem pływać. Byłem pływaką ofermą, wodną fajtką. Z innymi sportami radziłem sobie dobrze, z lekkoatletyką wręcz bardzo dobrze. Szybko biegałem, daleko i wysoko skakałem. A i w dziób dać potrafiłem, o czym przekonało się kil-

ku dżentelmenów. To już w ramach zajęć pozalekcyjnych. Ale wsadzony do wody tonąłem i basta. Z wszystkich przedmiotów miałem piątki, a z pływania lufy. Nie, nie nauczyłem się pływać. Odpracowałem, pisząc referaty o sporcie. Dopiero po latach znalazłem przyjemność w pływaniu. Pływam słabo, stylem raczej rozpaczliwym. Dobrze, gdy w pobliżu jest Grażyna.

Ta dam! Po raz pierwszy na łamach książki pojawiło się imię mojej Królowej! Gdy na brzegu basenu lub jeziora jest moja Pani, wtedy co jakiś czas krótkim warknięciem: „Oddychaj” ratuje mi życie. Tak się zapamiętuję w pływaniu, że na inne czynności życiowe nie starczy mi uwagi.

W ławce siedziałem z Ryśkiem Madajem, kolegą z podwórka. Rysiek był synem trenera kolarskiego. Jego ojciec przez pewien czas trenował polską reprezentację, potem austriacką. Sam Rysiek też czynnie uprawiał kolarstwo. No i miał rzutnik, na którym wyświetlał pornole. To tak à propos edukacji seksualnej. Kilka projekcji i wszystko było jasne. Prawie wszystko... Inni koledzy mieli z kolei zachodnie świerszczyki. Chociaż ciekawsze były komiksy. Oprócz Supermanów i Batmanów królował Tytus, Romek i A'Tomek, Kajko i Kokosz oraz Kapitan Żbik.

Nowa podstawówka, nowi koledzy, nowe koleżanki. Pierwsze randki w parku. Pierwsze westchnienia. Prywatki, niektóre bez alko, inne z jakimś małym winkiem. Ukochane pościelowy, przy których można było w tańcu przytulić się do koleżanki. Największe branie miały dziewczyny, którym najszybciej urosły cycki. W tańcu osiągnąłem ten sam poziom, co w pływaniu. Nie polecam, drogie Panie. Unikam. No, chyba, że pogo.

Prywatki i szkolne wycieczki urozmaicały monotonię szkoły. Uczyłem się dobrze, nie zabierało mi to zbyt wiele czasu. Podwórko zabierało go znacznie więcej. Słuchanie muzyki jeszcze więcej. Miałem różne pomysły, które moja mama określała jako „słomiany zapach”. Przez chwilę chciałem być harcerzem, potem chodziłem na jakieś kółka zainteresowań, lecz szybko mi się to znudziło. Tak jak wielu kolegów zbierałem też pudełka po papierosach. Inni kolekcjonowali puszki po piwie. Niezły fajans, prawda? Wieszać śmieci na makatkach, albo ustawiać śmieci na meblościankach.

Na szczęście szybko zamieniłem zbieranie pudełek po fajkach na zbieranie znaczków. Przynajmniej na oglądanie znaczków mogłem od czasu do czasu zaprosić jakąś koleżankę. Nie, nie, nic z tych rzeczy. Pomimo teoretycznej wiedzy z praktyką sobie nie za bardzo radziłem. Dopiero później, na wakacjach, w upalną noc lipcową, w ośrodku wczasowym, gdy ro-



Gdzieś nad Bałtykiem, archiwum rodzinne

dzice poszli na dansing. Straszne, nawet nie pamiętam jej twarzy. Ona mojej pewnie też.

Takim prawdziwym hobby, które zacząłem uprawiać było wędkarstwo. Wyrobiłem kartę wędkarską pod koniec podstawówki i ta atawistyczna pasja towarzyszy mi do dziś. Nie będę jednak Was zanudzał wędkarskimi opowieściami, one znalazły miejsce na łamach czterech wędkarskich książek, które kiedyś popełniłem.

Tak naprawdę, to z tej szkoły najlepsze były wakacje. Ojciec miał wielu znajomych i co roku załatwiał wczasy nad morzem, rzadziej w górach. Jeździliśmy na minimum miesiąc. Najpierw pociągami, potem samochodem. No, prawie samochodem, bo był to ruski Zaporozec, który chodził jak kombajn i tak samo często się psuł. Gdy wyjeżdżaliśmy, nigdy nie byliśmy pewni, gdzie się rozkraczymy.

Mimo wszystko lepsza była ta zemsta Breżniewa od zatłoczonych pociągów. Zatłoczonych i śmierzących. Człowiek ery socjalizmu rzadko spotykał na swej drodze mydło. W lecie bywało ciężko: w kolejkach na pocztę, autobusach czy w kinie. Lepiej już było jechać warczącym Zaporozcem.

Przez lata zwiedziłem prawie całe wybrzeże, wszystkie mniejsze i większe dziury. Wszędzie było fajnie, bo przecież to były wakacje, słodki czas leniuchowania. Tylko powrót do szkoły był bolesny. Rutyna, nuda, sześć dni w tygodniu. Czasem jakaś wycieczka w niedzielę, albo wyjazd na ryby. Na przykład rowerem na Cegielnię. Osobom wrażliwym i lękliwym nie polecam. Przychodzili tam gitowcy z okolicznych dzielnic, uprawiali sporty typu topienie milicjanta, lub wrzucenie do wody samochodu marki Syrena (na szczęście bez właściciela).

Trochę bliżej miasta znajdowało się lodowisko, całą zimę zasuwaliliśmy tam na łyżwach. Były jeszcze kina. Najmiej było w kameralnym Mikrusie, chociaż z kilku siedzeń nie było za bardzo widać ekranu. Pamiętam doskonale „Żółtą łódź podwodną” z Beatlesami, którą tam dwa razy obejrzałem. Zdecydowanie wolałem taki psychodeliczny lot, niż radzieckie filmy wojenne, na które chodziliśmy całą klasą. Lub akademie ku czci... Ja pierdole, jedyną zaletą tego typu imprez było, że odbywały się w czasie lekcji. Jak miałeś pecha, to wydelegowali Cię do wyrecytowania jakiegoś wierszydła-straszdydła ku czci Lenina. Na lekcjach prano dziecięce mózgi w proszku marki socjalizm z dodatkiem polsko-radzieckiej przyjaźni.

Na szczęście w domach dostawaliśmy odtrutkę. Szczególnie mocną dawkę dostawałem u dziadka w Tuchowie. Dziadek cały czas czekał, aż zmartwychwstanie Piłsudski i na białym koniu wjedzie do stolicy. Albo do Tuchowa. Dziadek miał lekko osłabiony słuch, dlatego puszczał radio na cały regulator. W radiu na zmianę: Głos Ameryki albo Wolna Europa. Szczerze nie cierpiał Ruskich i komuchów. Swoimi opowieściami starał się to uczucie przekazać wnuczkowi. Miał o czym opowiadać, przez kilka lat mieszkał na Polesiu, był tam kierownikiem szkoły. Gdy uciekali pociągiem przed Ukraińcami czy też Rosjanami czy też komuchami, babci od pocisku zapaliły się włosy. Wiem, wiem, to może być „urban legend”, nieważne.

Dzięki dziadkowi już w czasach podstawówki znałem trochę inną wersję historii od tej serwowanej w szkole. W szkole radośnie kwitła propaganda sukcesu. Ostrzyżony na jeża pierwszy sekretarz mobilizował naród słynnym: „Pomożecie?”. Pomożemy!

Pojawiła się coca cola, zachodnie papierosy, hiszpańskie wina, pomarańcze i banany, nawet kiedyś widziałem w sklepie limonki. Teraz wiem, że w innych regionach Polski nie było tak bogato, ale przez moment na Śląsku półki „Delikatesów” uginaty się od wszelakiego dobra. Kupionego na kredyt oczywiście. Nasi rządzący zawsze byli świetni w zaciąganiu kredytów, przecież to nie oni, tylko my je potem latami spłacamy.

Jednak niemocy socjalizmu nie udawało się ukryć. Niby na półkach bogato, ale przed świętami stało się po chleb dwie godziny. Na stoisku mięsnym też dupy nie urywało. Mimo to telewizja piała z zachwytem, prasa sikała po nogach, tłumy skandowały na akademiach: „Edward, Edward!”. Byliśmy dziewiątą potęgą gospodarczą świata! Tylko papieru do dupy zawsze brakowało. Czasem w kiblach zamiast niego wisały pocięte gazety, często ze zdjęciami pierwszego sekretarza. Cóż za piękna metafora! A po kilku latach kasa się skończyła i wszystko zaczęło się sypać.

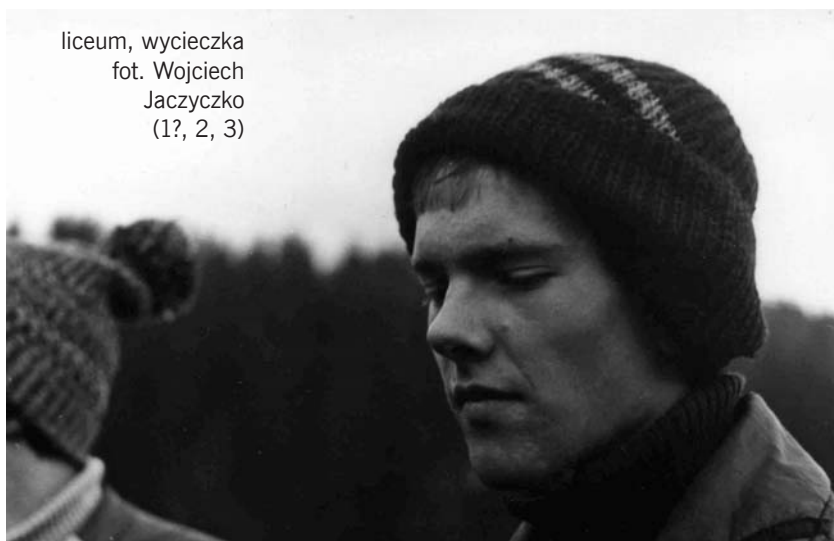
Po takich doświadczeniach z młodości, trudno było wierzyć propagandystom „zielonej wyspy”. Widzę dużo podobieństw pomiędzy epoką Gierka a współczesnymi czasami. Buta i bezkarność władzy są identyczne. Głupota i chamstwo tak samo. Prostactwo ponadczasowe.



od góry:
liceum, Andrzej
Burdziak i DD



liceum, DD



liceum, wycieczka
fot. Wojciech
Jaczyczko
(1?, 2, 3)

Muzyka



1978 r.
foto Wojciech Jaryczko

Umarł Maciek, umarł
I leży na desce
Gdyby mu zagrali
Zatańczyłby jeszcze...

To pierwsza piosenka, którą pamiętam. Śpiewała ją moja babcia Pelagia. Znała więcej przyśpiewek, ale ta najmocniej utkwiła w mojej tepe-tynie. Pewnie przez przestanie. Przestanie jest w piosenkach ważne. Babcia była jedyną muzykalną osobą w mojej rodzinie. Reszta na szczęście nie śpiewała. Ojciec miał za to dobre poczucie rytmu, za młodu próbował na bębnach. I to tyle. Nikt w rodzinie nie grał na niczym. Same beztalencia.

Jakie dźwięki towarzyszyły mi w dzieciństwie? Oprócz piosenek babci na pewno były to kołеды, puszczane z winyli z okazji świąt. Także kołеды śpiewane w kościele. Nie wiem, ale w czasach, gdy jeszcze chodziłem do kościoła, to naród strasznie fałszował. Chociaż i tak nic i nikt nie przebi-je organisty na pogrzebie mojego taty. Płakałem podwójnie.

Wracając do winyli, to mieliśmy jeszcze kilka płyt i pocztówek dźwiękowych z drugoligowymi wykonawcami. Rodzice płyt nie kupowa-li. Wystarczyło im radio. Radio marki Wola, lampowe, z zielonym okiem. Zazwyczaj był nastawiony program pierwszy, grały Czerwone Gitary i inni specjaliści od pobeatlesowskich kujawiaków. W telewizji za to można było zerknąć na Kołobrzeg, Opole czy też Sopot. Zerkąłem namiętnie, oglądając rodzime i importowane z innych baraków radzieckiego ładu gwiazdy. Do dzisiaj pamiętam Karela Gotta czy Muslima Magomajewa. Łykałem wszystko, co grało i śpiewało. Dopiero z czasem włączył mi się zmysł krytyczny, dotarłem do innej muzyki i nagle większość tych dźwięków spotworniała, zaczęła budzić niesmak. Całe to fojdiridi, te marsze, te pierwowzory disco polo, imitacje rocka. Owszem, nadal lubiłem Demarczyk, Grechutę, Nieme-na, ale pozostałych już nie za bardzo.

Tak naprawdę moja edukacja przyśpieszyła gwałtownie w piątej kla-sie podstawówki. Rodzice kupili mi magnetofon. Nie jakiegoś badziewne-go, polskiego szpulowca czy kaseciaka. Nie! Zostałem szczęśliwym posia-daczem kasetowego Panasonica. Do tego kochani rodziciele dołożyli kilka markowych, zachodnich kaset. Wybaczcie im, albowiem nie wiedzieli, co czynią. Zaczęło się pożyczanie kaset, przegrywanie od kolegów, nagrywa-nie z radia. Tak, z radia, bo chwilę później kupili piękny tranzystor marki Jowita. Na dzielnicy miałem wielu kumpli, którzy interesowali się muzyką.

Kilku z nich zresztą dostawało paczki z Zachodu, a w nich płyty i kasety. Różne, od popularnego wtedy glamu po hard rocka. T. Rex, Kiss, Slade, Purple, Zeppelini i oczywiście Black Sabbath. Ale też trochę innej, ambitniejszej muzy: Zappa, McLaughlin. Mocno mnie ta muza wzięła, oj mocno. Zostałem regularnym słuchaczem Trójki. Nie Listy Przebojów, wtedy jej jeszcze nie było, a gdy się pojawiła w 82 roku to niezbyt mnie interesowała. Nie te piosenki, nie ci wykonawcy. No, nie licząc krótkiego okresu, gdy na listę trafiła Śmierć Kliniczna z „Nienormalnym światem”. Próżność, próżność nad próżnościami.

Słuchałem wszystkich audycji muzycznych. Nieważne, jazz, rock czy klasyka. Na początku wciągnął mnie hard rock. Budgie, Purple, Led Zeppelin, Uriah Heep i Nazareth. Oczywiście, że Black Sabbath też. Zresztą z tych wszystkich wymienionych, to Ozzy i spółka obecnie są mi najbliżsi. Kasety pozapełniałem schodami do nieba wiodącymi przez dym na wodzie i świniami wojny w lipcowy poranek. Niestety, nigdy nie byłem mocny w archiwizacji, stąd nigdy nie byłem ekspertem w tytułach wydawnictw czy tytułach piosenek.

W porywie pasji zapanowania przynajmniej nad częścią muzycznej wiedzy napisałem mini esej o zespole Deep Purple. Na szczęście zaginął, co pozwala oszczędzić i sobie i Wam jego fragmentów. Chociaż, gdy patrzę na poziom współczesnych blogów... Patrzę, nie czytam.

Mój kolega z sąsiedniej klatki miał totalny odlot na AC/DC. Dzięki niemu mogłem poznać całą dyskografię tego świetnego australijskiego bandu. Nawet nie musiałem do niego chodzić, by posłuchać. Gdy puścił, to cała dzielnica słuchała AC piorun DC. Potem posłuchałem trochę amerykańskich kapel: Grand Funk Railroad, Iron Butterfly, Hendrixa. Z każdym dniem odkrywałem coś nowego. Jak nie Thin Lizzy, to Kissów albo Iggy Popa. Jak tu się nie podzielić z bliźniemi?

Na kolejną prywatkę przytargałem dwie kasety z moją muzyką tańczącą. Na jednej była składanka Black Sabbath, na drugiej coś lżejszego, czyli Led Zeppelin. Nie uwierzycie, nie chwyciło, nikt nie chciał tego tańczyć. Poczułem się okropnie, poczułem się obcy. Na dobiecie koledzy puścili „Yellow River” zespołu Christie. Z winyla wydanego w Polsce. Potem poleciała Abba. Cierpiałem, umierałem.

W 1976 roku cierpiałem jeszcze bardziej, bo Abba wystąpiła w polskiej telewizji, w programie „Studio 2”. Cała Polska zamarta, ulice opusto-

szały, krowy przestały dawać mleko, a bociany przynosić dzieci. Była to większa sensacja, niż 9 lat wcześniej Stonesi w Kongresowej. Normalnie, do Polski żaden popularny, zachodni wykonawca nie przyjeżdżał. Prędkiej na Węgry lub do enerdówka. Nie mogli zamiast Abby ściągnąć Black Sabbath? Nie mogli. Abba pasowała do propagandy sukcesu. Idealnie.

Po hard rocku powiało grozą i na moment zacząłem tykać rock progresywny. Brr, sama nazwa tyłek mrozi, prawda? Te nadęte kompozycje Yesów, suity Genesisów, pitolenie Floydów.

Chociaż jeśli chodzi o tych ostatnich, to kilka numerów bardzo lubię, a pana Davida uważam za jednego z najlepszych gitarzystów na świecie. Tak, bo gra konkret, a nie jakieś chuju muju miliony zbędnych dźwięków. Niektóre wałki King Crimson (na czele ze „Schizofrenikiem XXI wieku”) również cenię do dziś. Przez moment podobała mi się ekwilibrystyka Emerson, Lake and Palmer, dopóki nie usłyszałem „Obrazków z wystawy” zagranych na fortepianie przez któregoś z czołowych, klasycznych pianistów. ELP nie mieli startu. Czyżby muzyka klasyczna nadawała się do słuchania?

Przez całą podstawówkę lekcje muzyki starały się klasykę zohydzić. Były nudne i odstraszające. Albo próbowano nas nauczyć śpiewać jakieś smętne utwory, albo pałowano korzeniami disco polo, czyli naszym rodzimym folkiem. Ewentualnie z charczącego magnetofonu szpulowego puszczano klasykę. To nie ma się co dziwić, że po takich doświadczeniach większość narodu uciekała na dźwięk orkiestry symfonicznej. Nie mam zamiaru udawać jakiegoś konesera muzyki klasycznej. Nie, nie, ale przynajmniej mi nie przeszkadza. To też zasługa radia.

Fascynacja rockiem progresywnym minęła szybko i nigdy nie wróciła. W liceum ze zdziwieniem przyglądałem się kolegom pałującym się Floydami i Genesisem. Ba, co gorsze oni też słuchali Queen.

Wiem, wiem, szacun itd. ale słuchać tego zespołu nie potrafię. Co, po prog rocku, mogło się wydarzyć w moim nastoletnim życiu melomana? Co Darkowi mogło zamieszać pod kopułą? Jazz i tylko jazz. Poznawany chaotycznie, po łebkach, pobieżnie. Nie przeszkadzało mi to w pewnym momencie uwierzyć w siebie. „Uwierz w siebie Dariuszu!” brzmi jak refren z marnej popowej piosenki z playlisty RMF-u.

Uwierzyłem i dałem ogłoszenie w miesięczniku „Jazz” (w latach osiemdziesiątych to czasopismo zmieniło tytuł na „Magazyn Muzyczny”). Ogłoszenie było mniej więcej w ten deseń.

„Wielki pasjonat muzyki jazzowej poszukuje unikalnych nagrań, zdjęć i materiałów dotyczących muzyki jazzowej. Itp, itd.”. Pasjonat miał czternaście lat i zero wiedzy. Jednak czasem tupet wystarczy. Pisali i pisali. Korespondowałem, wymieniałem się jakimiś zdjęciami. Płytami nie, bo rzeczonych nie posiadałem. Nawet któregoś razu umówiłem się z jednym z korespondentów na gliwickim lodowisku. Koleś tak na oko wyglądał na studenta i chyba był bardzo rozczarowany, gdy do niego podszedłem. Czternastoletnie dziecię.

To co by tu tyknąć po jazzie? Może bluesa? Proszę bardzo. Świetne audycje Marii Jurkowskiej, potem Kosińskiego i Chojnackiego czekały na takie ofiary spragnione muzyki. Co po bluesie? Rock’n’roll. Zresztą rock’n’roll pojawiać się już wcześniej. Bardzo lubiłem standardy, za energię i prostotę, za czad i żywiołowość. Rock’n’rolla kocham do dziś, a on mi tę miłość odwzajemnia. Co mogło spodobać się pryszczatemu, piętnastoletniemu małolatowi zasłuchanemu w „Johnny Be Good”? Punk rock? Nie, jeszcze nie teraz, zresztą on dopiero powstawał. Owszem, w którejś z gazet typu „Bravo” czy „Pop” widziałem materiał o Sex Pistols, ale nic mi ta nazwa nie mówiła. Tylko wygląd zespołu mi się spodobał.

Na Pistolsów przyjdzie czas, na razie odrabiałem lekcje z Kinksów, Animalsów czy The Who. Aż w końcu, gdzieś pomiędzy liceum a studiami przyszedł czas na punk rock.

Pierwszym bandem, który słyszałem w radiu było Stiff Little Fingers. Chyba. Potem u kogoś Pistolsi i Ramonesi. Protopunka znałem już wcześniej: MC5, Iggy Popa czy New York Dolls. Powoli, powoli agresywna, rock’n’rollowa muzyka zaczęła mnie wciągać. Czasem Mann coś puścił, czasem Wiernik. Czasem u Wojtka Jacyzczki czegoś posłuchaliśmy, odkryliśmy. Na przykład Rutsów. Albo Devo. Albo Slaughter. Gdy zaczęliśmy grać w Śmierci Klinicznej strumień muzyki punkowej docierającej do nas bardzo się poszerzył i urosł do rozmiarów rwącej, wiosennej rzeki. Kasety krążyły, czasem nieopisane, nieważne. Punk infekował jak zaraza.

Potem pojawiły się płyty. Chodziło się do Paula, który mieszkał przy Rynku. Zazwyczaj miał coś świeżego. Kawka, petko, siadałeś na kanapie, Paulo brał kolejny winyl, kładł na adapterze. I zaczynało się dzydzy. Lubiłem te słuchowiska, chociaż Paula bardziej kręcił punk współczesny, z początku lat osiemdziesiątych: GBH, Angelic Upstarts, Exploited, Discharge. Wolałem bardziej zespoły z lat siedemdziesiątych, punk wtedy był bardziej

różnorodny i bardziej oparty na rock'n'rollu. A ja przecież mam serce z rock'n'rolla. Te wszystkie mariaże i podchody w kierunku metalu nie za bardzo mnie kręciły. Na pewno dzisiaj mam bardziej tolerancyjne ucho, ale wtedy bardzo mnie drażniła szampa i zasada im szybciej, tym lepiej, która przyświecała wielu punkowym wykonawcom.

Umpapapa umpapapa umpapapa.

Umpapapa umpapapa umpapapa.

Umpapapa umpapapa umpapapa.

Umpapapa umpapapa umpapapa.

Jednak nawet wśród tych szybciej grających kapel zdarzały się perły: Kennedysów kochałem okrutnie. No tak, ale to przecież jest sto procent rock'n'rolla. Tak to przynajmniej słyszę.

O The Clash proszę nie pytać. Punk czy nie punk, nieważne. Genialny zespół, genialne piosenki. O każdej porze dnia i nocy, no może poza Cut The Crap. Jak Clash to blisko do reggae, prawda? Mając w zespole Jacka Szafira trudno było reggae nie znać i nie kochać. I jeszcze ska. I jeszcze niektóre kawałki The Police. Ach i B-52's. I jeszcze... Pewnie mógłbym wymieniać godzinami, bo godzinami chłonałem, zasysałem i połykałem punkową i nowofalową muzykę. Zamieszkała we mnie na stałe. Owszem, zdarzały się jakieś chwilowe fascynacje innymi stylami, ale jako ten syn marnotrawny do rock'n'rolla zawsze wracać będę.

Jednak prawdziwa muzyka, to muzyka na żywo. Na żywo, to nie to samo co z playbacku. Na żywo, to nie to samo, co z samplami zawierającymi 90 procent treści danego utworu. Na żywo oznacza, że wychodzi muzyk i gra. Lub wychodzi kilku i gra. Bez pomocy komputera. Tak naprawdę, realnie, namacalnie.

Pierwszy zapamiętany kontakt z żywym graniem miał miejsce w Łebie. Szliśmy ulicą wzdłuż której były rozlokowane ośrodki wczasowe. W jednym z nich miał próbę zespół dansingowy. Dwie gitary, bas, perkusja i organy. Skład typowy dla lat sześćdziesiątych.

Szok! Grom z jasnego, łebskiego nieba! Kopnięcie łosia! Muzyka na żywo była porażająca! Była tak wspaniała, że nawet lepsza, lepsza od... od oranżady! No, może nie aż tak. Była prawie tak dobra jak oranżada! Potem jeszcze kilkakrotnie słuchałem na wakacjach kapel dansingowych. Wielokrotnie słuchałem też orkiestr dętych, które do dziś podziwiam za bardzo luzacki stosunek do rytmu i harmonii. Do tego dochodziły jakieś smętne



Liceum, wycieczka:
DD, Tomasz Jelonek, Wiesław Grzesik, fot. Wojciech Jacyczko